

Anna Błachucka

List

Monodram

Na scenie stoi kanapa, stół, fotel. Na ścianie zdjęcie rodziny, regał ugina się od książek i albumów. Duże lustro ustawione tak, żeby w czasie mówienia do lustra była widoczna widzom twarz aktora. Muzyka: odległa i delikatna.

W pojedynczej wiązce światła pojawia się Mężczyzna w garniturze i krawacie, w dobrze wyczyszczonych butach. Trzyma w dłoni notatnik. Stoi twarzą do widowni, chwilę patrzy nieruchomo i być może dla lepszego skupienia – jest lekko pochylony do przodu.

MĘŻCZYŻNA: – Odmówiłem grania roli. Dlaczego? Bo uważałem, że nie ma takiej potrzeby, abym dany mi tekst „wzbogacił” wypowiedzeniem 123 razy znanego prasłowa.

Za każdym razem, kiedy poddawałem się temu wymogowi reżysera, czułem się tak, jak gdyby zabrano mi coś cennego, coś mojego. Uszy i umysł wypełniała mi wtedy maksyma Fr. Nitzschego „Kto walczy z potworami, niechaj baczy, by sam nie stał się potworem. Gdy zaś długo spoglądasz w bezdeń, spogląda bezdeń także w ciebie”. Drażniła ta filozoficzna myśl moje poczucie intelektualnej niezależności i delikatnie nakłaniała do odwagi. *(Przechadza się po scenie, notatnik kładzie na stół).*

Wiem, co będzie dalej, zapewne zwolnią mnie z pracy. Przy takiej konkurencji, przy takim parciu całej rzeszy aktorów, aby zaistnieć na scenie, przy taki małym zainteresowaniu społeczeństwa teatrem... Ale z drugiej strony, nic tak jednak człowiekowi nie doskwiera, jak udawanie, że wszystko jest dobrze. Postanowiłem i już. Ale... Dwa lata do emerytury, a co zrobiłem? Czy na tym polega moja odwaga, że nie dbam o swój byt? Z czego będę żył? Czy aby nie popadłem w przesadę, chcąc zaznaczyć siebie za bardzo prawdziwie, nadprawdziwie może? Jak jakie panisko egzystencjalne? A przecież trzeba żyć tak, jak się da, wiem o tym aż do bólu. Wychowałem się w takiej rodzinie, że ta zasada była dominującą. „Żyjemy tak, jak musimy” – stwierdził Myśliwski. A ten pisarz wiedział, co mówi. Trudno, jestem spakowany. Jeśli ktoś cię przymusza do czegoś, czego ty nie chcesz, nie trawisz, co gwałci twoją duszę, rani serce, to w pierwszym odruchu powinieneś zapytać siebie, dlaczego się nie buntujesz. Przyszła pora, aby przestać dźwigać w swoich szufladkach to, czym się brzydę, czego absolutnie nie potrzebuję, co zachwaszcza rolę, co ją zaśmieca, zezmaca... *(Wygłasza cytat).*

Jak to się dzieje, że człowiek, który raz poczuł piękno dobrych słów, nieraz jeszcze gwałtownych i złośliwych używa? Wszak twardym, nieżyczliwym mówiąc słowem, gdy łagodne może świetnie służyć, człowiek staje się podobny do głupca, który zielone niedojrzałe owoce nad słodycz dojrzałych przedkłada.

(Podchodzi do stołu, kartkuje notatnik, sięga do kieszeni po okulary) Przepraszam. (Jeszcze przez chwilę poszukuje odpowiedniego fragmentu i czyta głośno) Tiruwalluwar: TIRUKKURAL Święta księga południowych Indii. (Odkłada notatnik na stół). Ale po kolei. Ja, wasz sługa najwierniejszy, kamerdyner teatru napisałem list. List – Pożegnanie. (Ponownie bierze notatnik, kartkuje i czyta uroczyście).

Drodzy widzowie, to Wy tyle lat byliście moją siłą, moim punktem odniesienia i sensem życia. Mam nadzieję, że nie przywołuję dziś Waszego imienia nadaremno. Mam nadzieję. Wiem, że wspomnienia i uczucia prowadzą do złudzeń, ale dopiero prowadzą. Jeden raz może mnie nie pogrąży. *(Odkłada teks, robi kilka kroków w stronę publiczności, mówi z żarliwością).*

Dla Was wkuwałem setki, tysiące, miliony, miliardy słów zorganizowanych w zdania talentem twórcy, ozdobionych (bywało) zrozumieniem przez reżysera, ale czasami też kompletnym wynaczeniem sensu sztuki, i wypowiadałem tekst swej roli dla was – tymi ustami. Od wargi do wargi kolebałem każde słowo dotąd, aż uznałem, że mogę je wyemitować z siebie, skierować do Was. Wygięty w znak zapytania lub wyprostowany w wykrzyknik, spakowany do kropki, rozciągnięty do myślnika wypuszczałem słowo, wręcz je wyśpiewywałem, i wysyłałem jako własną falę. A dalej to się już działo, oj działo. Wtedy już, z Państwa udziałem albo ta fala gasła, albo potężniała i płynęła dalej w dorzecza serc waszych bliskich, znajomych... Wy o tym dobrze wiecie, dlatego tu dziś przyszliście. Ale fala...

Dziełom twórców dramatów dawałem serce, głos, ruch i duszę. To nie takie proste, być kimś innym na komendę, chcąc być sobą, kiedy wiatr mody urywa wprost głowę, kiedy pieniądź pęta niezależność zawodową, kiedy głoszona wolność nie ma nic wspólnego z wolnością osobistą, kiedy diabeł przebrany za anioła jest tak wiarygodny, że sam zaczynasz wątpić w to przebranie.

(Na ścianie wisi portret. Podchodzi do niego i długo patrzy. Zdjęcie rodzinne. Siada przy stole, sięga po album, przegląda zdjęcia. Wzdycha).

Ustawienia „fabryczne” miałem dobre, tylko który młody człowiek o tym wie, a tym bardziej docenia? Ojciec górnik przodowy, matka gospodyni domowa. Tych ustawię bardzo się wstydzilem, to była kula u mojej młodej nogi. Co dla niedojrzałego rozwichrzonego gniewnego umysłu znaczyła oszczędność? solidność? chodzenie do kościoła? dziwaczne śląskie stroje? czystość w domu? zupa codziennie gotowana? smalec z cebulką? A już język! Ani radio, ani telewizor, ani książki nie znały takich słów. Byliśmy w szkole bez przerwy napominani: – Nie mówimy gwarą na lekcjach. Po polsku mówimy. *(Pauza, znowu przegląda zdjęcia, mówi nieco pretensjonalnie, szukając zrozumienia dla pragnień swojej młodości).*

Motor chciałem mieć, a tu ojca ledwo było stać na rower i do tego odkupiony od kolegi. Przechodzony... Wyjeżdżony, sponiewierany przez czas już tak, że farba odłaziła z niego jak skóra z opalonej szyi koleżanki, naprawiany tyle razy, że tylko rama była oryginalna. Jeansy chciałem mieć, a nie portki nicowane ze starego munduru galowego mojego ojca. Napoje z puszek pić chciałem, a nie kompociki z mirabelek. Jak ja się tych mirabelek wstydzilem. Znosiłem je całymi wiadrami z opuszczonego sadu, a matka myła, gotowała, przecierała, wekowała... Proszę państwa! *(Wymienia jednym tchem, nerwowo, prześmiewczo).* Sok z mirabelek, syrop, kompot, galaretką z mirabelek, mirabelki w zalewie kwaśnej albo słodkiej, mirabelki z żurawiną, z rodzynkami, z goździkami. Marmolada z mirabelek, mirabelki suszone, kandyzowane... Nawet zupę mama gotowała. Kwaśną, aż gardło się buntowało. Kołoczek spaprany był oczywiście mirabelkami. Sos do mięsa! To dopiero był pomysł! Jako jedyny w

rodzinie nie skalałem nigdy mięsa sosem z mirabelek. Niedzielny obiad, czyli jest kardinadel i ciapmirabelka do tego! Brrr... Do dziś nienawidzę tych śliweczek. Jakiś poeta napisał wiersz, w którym zachwycał się pięknem tego drzewka. Porównał je do dziewczyny ubranej w sukienkę w groszki. To drzewko tańczyło dla niego i śpiewało mazurki Chopina. Nawet mu się śniło, a w tym śnie policzył wszystkie groszki tej śliwkowej sukienki. Było ich dwa tysiące i cztery. To był jedyny wiersz, którego recytacji odmówiłem. Pani polonistka poskarżyła mamie, a mama po przyjsciu z wywiadówki mówi: – Takiego pięknego wiersza nie chciałeś się nauczyć? Maciuś?

– Ja nienawidzę mirabelek – wykrzyczałem.

– Co tyż ta godesz, ty giździe jeden – powiedziała nienaturalnie cicho, bez akcentu na giździe, nie swoim głosem, jak echo, moja mama.

To giździe mnie tak rozsierdziło. Smarkacz. Miałem już skończone piętnaście lat! Wygarnąłem cały ten nagromadzony we mnie mirabelkowy ulepek wprost przed wrażliwość mojej mamy, przed jej pomysłowość, pracowitość, zaradność. Stałem na palcach i stoczyłem najohydniejszy bój w życiu, bo z kochaną a bezbronną kobietą. Jakbym to nie był ja. Nie umiałem zatrzymać tych słów i wypłynęły ze mnie, jak woda z rozerwanej tamy. Powodziowa woda, nie do zatrzymania.

Głośno i dobitnie! Co wtedy nawygadywałem... Porównałem jej przetwory do tawotu, brei, pulpy, marasu, klajstru, wymiocin, a nawet do ... sraczki. Płakała, o, jak płakała. Łkała, krztusiła się od łez, a ja, niczym rozjuszony zwierzę dokładałem mirabelkowych skojarzeń bez opamiętania. Aż mi sił brakło, aż się zapieniłem w ustach, aż się usmarkałem. To – smarkacz – do mnie bardzo pasowało, i widocznie tak wtedy umiałem zagłuszyć w sobie to słowo. Wieczorem rodzice długo rozmawiali. Myślałem, że ojciec sprawi mi lanie. Cały drżałem. Już nie mogłem się tego lania doczekać. Byłem wprost spragniony tej kary. Chciałem, żeby jak najszybciej było po wszystkim. Tak! Solidne lanie. Należało mi się solidne lanie. To by mnie oczyściło z winy, popłakałbym sobie i już. Nic się jednak takiego nie wydarzyło. Na drugi dzień rano ojciec powiedział:

– Matce należy się przeproszenie... I żeby mi takiego drugiego raza nie było. Jutro pogodom z Kazkiem. Podobno jest tako robota, rychtyg tobie by się nadawała. Ty górnikiem nie będziesz. Matka tak godo, una godo, że cie rozumia. Filmowce przyjechały i potrza im cosi bez przerwy przenosić, donosić, podawać... Zarobisz trocha, to te modne rajfle se kupisz. Podpisza ci, że zezwolom na tako robote. Pogodom z rehtórką. Może cie zwolniać bedzie wcześni ze szkoły, abo co... Dobro kobita, córka mojego śtygara, mo wyrozumienie.

Co ja bym dzisiaj dał, żeby to zdarzenie nie miało miejsca. Gryzło mnie to do śmierci mamy, a teraz jeszcze bardziej dokucza. Mogłem przecież inaczej to powiedzieć, inaczej zaznaczyć, a nie tak frandzolić. Słowo w ustach człowieka jest tak bezradne jak pędzel w rękach malarza. Wypływa i już, maluje na czarno to, co chce w danej chwili w swej głupocie, zagłuszyć. Pyska, plami i zamazuje, a przecież można inaczej! Słowo jest bezwolną i zamkniętą w tajemnicę narodzenia – wszelką emocją. Może urodzić się radość albo smutek, może miłość, a może nienawiść. Zastanawiam się do dziś, dlaczego tak bardzo rani się osoby, które najbardziej się kocha? Przeprosiłem, a jakże... Ale co znaczy, przepraszam, w takiej

sytuacji? *To nie ty rzuciłeś, kiedy rzuciłeś* – tak mówi Bóg. Jak głosi tradycja, Mohammad tuż przed rozpoczęciem bitwy pod Badr, rzucił garść żwiru w twarz Kurajszytom. Ale waga tego czynu, a waga mojego jest inna. Miałem przed sobą bezbronną matkę, istotę, która jak tylko mogła i umiała wychowywała nas i żywiła. Gdy już zamieszkałem na swoim, przyjeżdżała do mnie ze słoiczkami. Nigdy mi nie przywiozła mirabelek. Pamiętała. Wybaczyła, ale pamiętała. (*Zmienia ton, mówi z sentymentem*).

Ale z drugiej strony, wtedy się zaczęło z teatrem. Zarobiłem pierwsze pieniądze. Jean-sy kupiłem i jeszcze na czapkę beatlesówkę starczyło. Zaraziłem się wtedy sceną. Zachorowałem bardzo ciężko na marzenia o filmie, o teatrze. Nieuleczalnie. A całą tę chorobę dusiłem w sobie. Rok wcześniej zdałem egzamin do ogólniaka na profil matematyczno-fizyczny. Na takie coś zgodził się ojciec, z moich marzeń nie mogłem się jemu zwierzyć. Uważał, że aktorzy są zdemoralizowani, nieżyciowi, a już mężczyzna aktor, nie utrzyma się przecież z gadania, nie założy rodziny, bo aktor ma tak pomajdane w głowie, że życiowego nakazu nie podejmie, a jak założy gniazdo to będzie krzywdził siebie i bliskich. (*Naśladuje głos ojca*). Aktorzy chodzą w domu nago i to przy dzieciach, a wódkę piją haustami. A to co po pijanemu się robi, jest po trzeźwemu wymyślone. Hamulce puszczaają tylko. (*Wyjaśnia z wyrzutem*). Więc zdałem tylko po to, aby nie iść do przyzakładowej szkoły górniczej. Czuję, że jeżeli tam pójdę, to z marzeniami koniec. Argumenty ojca były logiczne i praktyczne. Nauka, ubranie, praktyki – wszystko za darmo. Po trzech latach – robota. Zarobek. Przecież siostry czekają na edukację.

A dla mnie aktor był zawodem pierwszym po..., był w ogóle pierwszym namaszczonym przez sztukę człowiekiem do przekazywania podniesień ciała i ducha. Nie da się odnaleźć chęci do teatru u kogoś, kto tego nie pragnie, nie da się ukryć tych marzeń, jeśli są całym tobą. Tak tylko mogę wytłumaczyć mój zdany egzamin do szkoły aktorskiej. Ja, który nigdy nie byłem w wielkim teatrze, nie chodziłem na wystawy, spotkania kulturalne, nie miałem żadnych znajomości, nie bywałem w muzeach, ja, dla którego galerie sztuki i wielkomięjskie filharmonie to były egzotyczne miejsca, zdałem do szkoły aktorskiej. O! tu jestem trochę niesprawiedliwy, bo przecież była jeszcze cała seria akademii „ku czci”: 8 marca, dzień wyzwolenia miasta, 1 Maja, 26 maja, 22 lipca, 1 września, 7 października i jeszcze jasełka. Szkoła i kościół. Jedni i drudzy widzieli we mnie aniołka, albo pokrzywdzone dziecko, a nawet raz pani chciała abym grał dziewczynkę. Nie umiałem powiedzieć – nie i z tej bezradności zachorowałem. Miałem temperaturę. Postawiono mi bańki. Nie protestowałem. Tydzień leżenia w domu wyzwolił mnie z tego niedorzecznego pomysłu pani od polskiego. Nigdy ni grałem Heroda czy gieroja ani księcia, ani herszta...

Zdolności i chęci to nie wszystko. Warunki fizyczne... Jak widzicie: ani wzrost, ani uroda, ani muskulatura, ani włos, ani nos, ani tors, ani wzrost... Przystojność mną pogardziła. Za dużo miałaby w rodzinie górniczej do roboty. Inwestycja nieopłacalna. Oksymorony można na mnie ćwiczyć: ładny brzydal, nieprzeciętna pospolitość, niezwykła powszedniość... Wystarczy, co się będę sam pogrążał. Ale nie zgodzę się nigdy na takie oksymorony, jak: piwo bezalkoholowe, ciepłe lody, zimny ogień... Te nie są o mnie. A teatr się na mnie poznał. Przyjęli mnie do Akademii Teatralnej chyba „po warunkach”, ale „po warunkach” reżyserzy nie dali mi nigdy roli amanta czy wodza, o roli króla mogłem tylko śnić. Nawet w roli

Łokietka mnie nie widzieli. Tak więc byłem zawsze drugoplanowy... Charakterystyczny. Są aktorzy, dla których specjalnie napisano rolę teatralną, albo filmową, ale ja zawsze za kims, albo obok. W rodzinie byłem na piątym planie, a w teatrze na drugim. Nie ma co narzekać, awans i już. W górnictwie byłoby jeszcze gorzej, nie wiem czy nie wyłądowałbym na 20 miejscu. A jeszcze, co do edukacji kulturalnej, muszę wymienić radio „Stolica” – bardzo ważny sprzęt w naszej rodzinie. Nieczynne już... (*Przechodzi do półki i z czułością głaska jego obudowę*).

Dwugałkowe, ale z pomysłowymi gałkami wewnętrznymi. Model 3264. Waga? – chyba z 15 kilo. Stało na stoliku ozdobionym serwetką haftowaną przez mamę, stało jak ołtarzyk. To jedyna rzecz, którą z domu zabrałem. Całe materialne wiano. Nagroda dla ojca za wyniki w pracy, jego duma i powód do wspomnień. Dla mnie też powód do zadowolenia. Starszy kilka lat ode mnie sąsiad, który w piwnicy wygrywał rajcowne piosenki *Szwagrów*, zapraszał mnie na to granie. Ja lubiłem *Hura huba*. (*Fragment teledysku grupy BIG-CYC. Aktor według swoich możliwości, śpiewa lub tańczy*). Potrzebował wzmacniacza do gitary, a o takie cacko było bardzo trudno. Zdobył jakoś taki cwaniak na osiedlu to urządzenie, nazywało się Regent, ale za wypożyczenie brał bardzo drogo. Miałem dziesięć lat i dla mnie Rysio gitarzysta był wyobrażeniem całego wielkiego świata. Dla niego zrobiłbym wszystko. Wpatrzony byłem w niego bardziej niż w święty obrazek. Paul Anka był jego idolem. Rysio miał chrzestnego w Czechach i ten podarował mu gitarę elektryczną *Jolana*. Felerna już była, ale dało się szarpać struny. Wzmacniacza już nie podarował. Patrzył Rysio na to nasze radio i mnie wciągnął do pomocy. Obiecał, że nauczy mnie grać. Tato był ciekawy, jak on to podłączy i się zgodził. On i jego koledzy jakoś tam pokombinowali, połączyli i ryknęło tak, że aż moje siostry się rozpląkały! Zamrugało, jakby się ucieszyło, zrozumiało i zadziałało. Rysio śpiewał też po angielsku, choć tego języka nie znał. Na kartce miał napisane co i jak wymówić. Ale mnie to nie przeszkadzało, bo i ja nie znałem. *It's Time to Cry* w jego wykonaniu było rewelacyjne. Uprosiłem tatę, aby pożyczał radio również na jego próby w domu. Zgodził się, o dziwo zgodził się, ale postawił warunek: – Musisz sprawić, aby na urodziny mamy ten kolega zaśpiewał *Siedem dziewcząt z Albatrosa*...

I tak w dzień urodzin mamy, 15 maja całe osiedle odsłuchiwało piosenkę z repertuaru Janusza Laskowskiego, wykonaną przez mojego kolegę big-beatowca. Wygłosiłem na tę okoliczność własny wiersz i zatańczyłem twista. Tekst wiersza wstyd przytaczać, taki był marny, ale liczyło się zdanie sąsiadek, które już wtedy stwierdziły, że tekst przepiękny, a że mnie jest prawdziwy poeta i aktor. Mój taniec podobał im się bardzo, choć trochę kręciły nosami, że nieprzyzwoity i za bardzo wariacki. Padały komentarze, że w tańcu ziemi nie dotykam, że kości mam z gumy. Pytały same siebie po kim to mam. Mama, cicha jak trusia, ojciec solidny górnik. Aż się trochę tych kpin bałem, bo nuż sąsiadki dopatrzyłyby się mojego podobieństwa do jakiegoś pijaczka albo oszusta? A mama? Płakała ze wzruszenia. Po tym koncercie słowno-muzyczno-tanecznym uzyskała w sobie taką równowagę, że przestała połykać codziennie tabletki z krzyżykiem. Jak to mało człowiekowi potrzeba do szczęścia. Za ten występ dostałem od sąsiada nalepkę adidasa na buty, oczywiście podrabianą.

Wtedy też zostałem okrzyknięty aktorem, poznałem smak oklasków i otrzymałem pierwsze „recenzje”. To był mój chrzest aktorski. Sam ułożyłem wiersz, sam wygłosiłem. Ja, dla którego terminy: akcentowanie, cieniowanie, eksponowanie, intonacja, podkreślan, prezentowanie, stopniowanie, uwypuklanie, wyjaskrawianie, wzmacnianie, zaznaczanie nic nie znaczyły, tak powiedziałem marny wiersz, że kobieca część widowni płakała. Sam też nie mając pojęcia o krokach i układach, rozłożyłem twista na możliwości mojego ciała, na giętkość kręgosłupa, sprawność rąk i wytrzymałość nóg, tak, że aż ojciec uśmiechnął się szeroko i widać było braki w jego uzębieniu. Nawet sobie przyrzekłem, że za pierwsze zarobione pieniądze pomogę mu w kosztach wprawienia zębów. Nie zdążyłem.

Pierwsza moja publiczność, dorosła publiczność, wrażliwa publiczność podwórkowa, mnie doceniła. Moje młodsze siostry nie uznawałem wtedy za godne tej nazwy. Żadne późniejsze sukcesy tak mną nie wstrząsnęły, nie były przyczyną takiego uniesienia. Widownia była spontaniczna, niektórzy wybiegli z domów na podwórko, prosili o bis. Nie to co w teatrze. Wszyscy usztywnieni krzesłami, nigdy nie wiesz, czy klaszczą z wrażenia, czy tylko dlatego, że się wreszcie skończyło, czy dlatego, że wypada, czy dlatego, że ktoś opłacony zaczął, albo.... Wiem, wiem, jest muzyka oklasków. Te crescendo przy ukłonach, czas trwania, te niemilknące, te na stojąco... Nigdy jednak tak mi serce mocno nie biło, jak wtedy. I tak zostałem aktorem i w sercu w duchu, bo poza moje usta nawet to słowo nie miało odwagi się wychylić.

Radio, jako sprzęt od kultury, było bardzo też ważne dla ojca. Nocami z uchem przy samym głośniku wyławiał z szumów i dziwnego wycia zdania z radia „Wolna Europa”. Przychodził jego kolega z kopalni i razem odsłuchiwali te gadki. Tak to określała moja mama, która krakała, że za te wybryki kiedyś pójdzie siedzieć. I wykrała. Na szczęście siedział tylko pół roku, ale wrócił jakiś przygarbiony, wychudzony i nic go nie cieszyło. Twarz mu się zmieniła. Przyszedł z nową, z bruzdami, które uczyniły go niepodobnym do wszystkiego, co widzieliśmy dotychczas. Znikł z tej twarzy zapach, a oczy nie umiały się cieszyć. Posiwał, stracił kilka zębów... Nerki go bolały. Odszedł. Nie doczekał mojego dyplomu.

*(Podchodzi do ściany i wpatruje się w tablo maturzystów, sięga na półkę po czapkę be-
atlesówkę, przymierza, miętosi w rękach).*

O! Szalony Witek, teraz poseł. Tu Florek! Zabił się na motorze. Za pierwsze zarobione pieniądze go kupił. Albert! Górnik nad górnikaми! On miał polot! Ale po co polot do kilofa? Piękna Marynia! Najpiękniejsza z klasy, marnie skończyła. A tak mi się podobała. Nie chciała na mnie nawet spojrzeć. A ten jej Apollo... Bokser, ale damski. *(zamyśla się)* Nie chcę powiedzieć, że byłem i jestem święty. Jak każdy dorastający chłopak poczułem za plecami diabelskiego stróża, który znał dobrze labirynty tanich uciech i umiał kusić, oj, umiał. Łazi za mną do dzisiaj. W liceum chodziłem z kolegami na międzyzakładowe mecze bokserskie. Była moda na taki sport. Tam to już tylko bluzgi się liczyły. Jaki sport, taki język. Przecież oni walą się po mordzie, a nie po buzi. Całe zestawy, całe ciągi dla obrażenia zawodników, sędziego a nawet ławki rezerwowych. Po meczu piliśmy na hałdach wino. Na przyssawkę, z jednej butelki, podawanej z rąk do rąk. Złoty sikacz zniknął w naszych gardłach błyskawicznie.

A my w wyniku opróżnionych butelek uzyskiwaliśmy głosy pewne, a głośne. Gromkie brzmienia śpiewów piosenek zawsze sprośnych ozdabiały ten szary klimat. Rywalizowaliśmy. Spełnialiśmy się w zawodach bluzgo-twórczych. Chodziło o to, kto na bazie znanych ohydnych słów, poskłada na wpół logiczny najdłuższy ciąg złożony z plugawych wyrazów podstawowych, im pokrewnych, bliskoznacznych i synonimów. Mile widziane były własne sztuczki językowe w tym zakresie. Twórczości tej towarzyszył błysk w oczach i śmiałość w interpretacji. Akurat byłem w żałobie. Babcia zmarła. Nie wiem, dlaczego, ale uważałem, że zachowuję się względem tej dobrej i świętobliwej za życia osoby, bardzo teraz nie w porządku. Jakbym zdradził własne sumienie. Niby drobna sztubacka zabawa, a jakoś mnie uwierała. Wydawało mi się, że babcia patrzy na mnie z góry i mówi: – Maciek, jak ci nie wstyd. Wtedy wymyśliłem konkurs oparty na zasłyszanej na meczu rymowance. Stalin już dawno nie żył, a dosadna rubaszna satyra na ustrój, pozostała.

– Hej, chłopaki! Kląć już umiemy. Ale gdyby tak kląć, nie klnąc? Niepokalanie kłać, najbielej oczerniać? Takie znaleźć słowa, aby to słuchacz klął za nas, za nas używał brzydkich wyrazów, za nas myślał brzydko, jeszcze brzydziej niż my, żeby to słuchacza sprowokować, nabić w butelkę? Co wy na to? Jak szyfr jaki.

Koledzy w pierwszej chwili odmówili, twierdząc, że to dobre dla dziewczynek w wieku komunijnym. Ktoś jednak krzyknął: – Wal prosto, o co ci chodzi. Daj przykład. Ty jesteś aktor, a my nie! Daj przykład, zamiast tak frandzolić! Więc dałem przykład.

Do kurwy

Na jabłoni szepczą liście: – Nie daj, kurwo, komuniście.

Jak się Stalin o tym dowie, to ci dupę upaństwowi.

I po zamianie:

Na jabłoni szepczą liście: – Nie rób dobrze komuniście.

Jak się Stalin o tym dowie, to ci dobro upaństwowi.

Chwyciło!

Na akacji szepczą liście: – Nie rób dobrze organiście.

bo i księdza grzech ten skusi, za Bóg zapłać dawać musisz.

Albo:

Na osice szepczą liście. Nie rób dobrze kombajniście.

Kombajnista dobro zmłóci, po robocie ciebie rzuci.

Na jaworze szepczą liście, nie rób dobrze traktorzyście,

Nie licz na to, że on mały. Może orać przez dzień cały.

Na kalinie szepczą liście: – Nie rób dobrze wuefiście.

To jest do kopania chłopiec, więc jak piłkę cię wykopię

Byliśmy w tym temacie tak zaangażowani, że większość zawodów mieliśmy już obrobione. Po każdej takiej improwizacji zarykiwaliśmy się ze śmiechu, aż nas brzuchy bolały. Wracając do domu zostaliśmy przyłapani przez stróżów porządku na tym, jak w zbiorowym współzawodnictwie „kto dalej”, obsikiwaliśmy wydeptaną kiedyś ścieżkę, teraz świeżo obsianą trawą, oznaczoną tekturową tabliczką „Szanuj zieleni”, choć żadnej zieleni jeszcze nie

było. Nikt nie ma alergii na własną głupotę. Sami się o aresztowanie prosiliśmy, bo hałasem podpitych młodych głów gwałciliśmy ciszę ledwo co zaczętej nocy mieszkańców osiedla. Cała paczka wylądowała na komisariacie, gdzie ze szczegółami opowiadaliśmy o swoich pomysłach. Jako prowadzycza tego konkursu podano mnie, zgodnie zresztą z prawdą.

Funkcjonariusze wprost pokładali się ze śmiechu i tym nas podpuścili. Popisywaliśmy się na całego. I tu był koniec zabawy. Sprawa oparła się o dyrekcję ogólniaka.

O mało mnie ze szkoły nie wyrzucili, właśnie za tego wuefistę, choć to nie ja wymyśliłem. Później dowiedziałem się, że nasz wuefista był synem naczelnika milicji i porzucił córkę dyrektora liceum, gdy ta spodziewała się dziecka. Mama moja rozpaczała i tym płaczem wyjednała u mnie skrucę, a u dyrektora znalazła kawałeczek dobrego serca. Tak po prawdzie, to tę skrucę udawałem. Byłem przekonany, że działałem w dobrej wierze. Nie przeklinaliśmy przecież w tych rymowankach, szukałem łagodniejszego środka wyrazu, namówiłem kolegów do ładniejszego wysławiania się...

Przypomniałem sobie to zdarzenie, gdy na trzecim roku studiów aktorskich, profesor Swinarski ucząc nas o środkach przekazu artystycznego przytoczył maksymę ze staroindyjskiej świętej księgi, TIRUKKURA

Jedzenie, ubranie i cała reszta są wspólne dla wszystkich.

Rozróżnienie pochodzi z wrażliwości na wstyd.

Właśnie wstyd. Jakby to było na świecie, gdyby ludzie wstydu nie mieli? A znam takich, co nie mają, na szczęście są nieliczni. Kochani słuchacze, jakże się cudnie spieraliśmy, co sztuką jest, a co nie jest, bo przecież nie wszystko jest sztuką. Czy aktor to tylko odtwarzacz? Przekaznik? A może to tylko gramofon, może ma umysł przerobiony właśnie na gramofon i każda płyta mu pasuje, musi mu pasować. Co to znaczy dorosnąć w zawodzie aktora do artysty? Najpiękniejszy czas mojego życia.

(Chodzi po pokoju i sięga do kufierka skąd wyciąga cztery lalki. One to posłużą mu do ubarwienia tego fragmentu, usadza je na fotelu i mówi o nich i do nich, naśladuje ich głos).

Miałem cztery młodsze siostry, ale długo byłem jedynakiem. To był piękny czas. Maciuś to, Maciuś tamto... Maciusiowi co najlepsze kąski, ciasteczka, zabawki. Gdy miałem sześć lat urodziła się Kasia, a za rok trzy siostry za jednym zamachem: Zośka, Marynka i Kazia. Ojciec złapał się za głowę, gdy się dowiedział o tym szczęściu. Pamiętam, jakby to było dziś. Pielęgniarka ze szpitala przybiegła zaraz po jego szychcie i zakomunikowała: – Panie Jonik, żona dziś w nocy urodziła szczęśliwie trzy zdrowe córeczki. Po 2 kilo mają.

Cztery, tak kochana publiczności, dobrze słyszycie – cztery siostry, które trzeba było rozumieć, karmić, pilnować, wysłuchiwać, godzić... Wiecznie swarliwa albo płacziwa czterogłowa chimera, której wypadaly i rosły zęby tylko po to, żeby mnie dręczyć, nadgryzać, podgryzać. Ten siostrzany stwór patrzył jednocześnie na cztery strony świata, śmiał się i płakał jednocześnie. Ta bestia miała mnogie ilości rąk, nóg, palców... Rozłamywała się na cztery i rozchodziła w różne strony, to znów z wielkim piskiem kotłowała się na kocu albo trawie przed domem. Ja miałem za zadanie przyporządkować czterem imionom oczy, ręce nogi i oddać mamie wynik mojej opiekuńczości w stanie nienaruszonym. To wtedy ćwiczyłem ak-

torstwo. Usadzałem te płowowłose stworzenia na ławce i jak to mówił ojciec – robiłem z siebie idiotę. Naśladowałem głosy zwierząt, byłem duchem, diabłem, strażakiem, złodziejem, włóczęgą, kaleką, kulawym stryjem Kaziem, jękającym się wujkiem Rysiem, bezzębną sąsiadką Magdą, grubą cycatą kioskarką Różą, a nawet wiecznie przeklinającym stolarzem, który przeważnie mówił po niemiecku, ale kląć wołał po polsku. Za wujka dostałem reprimendę od ojca, za kioskarkę ścierał po plecach od mamy, a za stolarza karę wpłacenia 5zł ze swojego kieszonkowego na cel kościelny, który mi wskazali rodzice. Niesłusznie. Już wtedy brzydziłem się przekleństwami i zamiast k... mówiłem kura, zamiast p... piłka, zamiast ch... chuchaj i inne takie skojarzenia. To była dotkliwa kara, ale mimo wszystko – ryzykowałem, nie raz ryzykowałem. Żadne tam grzeczne wierszyczki, żadne pioseneczki. Musiało być strasznie albo śmiesznie. A najlepiej śmiesznie i strasznie jednocześnie, a do tego, niejako na deser, coś zakazanego. Tylko takie spektakle wchodziły w grę. Nic z królewien i królewiczów. Wymyśliłem postać tchórza i wypracowałem ten typ postaci. Jak ja się cudownie bałem, tak, że aż wszystkie siostry trzęsły się ze strachu. A tak tę grozę umialem przedstawić, że nieraz płakały, a Zosia raz nawet się posikała. Trochę spokoju było wtedy. Bały się, bywało, kilka minut, a nawet dłużej.

Przydały mi się te doświadczenia. W sztuce *Ach, te duchy*, bałem się za widza, za siebie, na zapas... Banie się jako maniera, jako wygodna, jako zasłona, jako metoda na życie, jako oszustwo, jako kpina, cynizm, jako ucieczka przed odpowiedzialnością, jako przysłona własnego nieudacznictwa. A w *Upiorze w kuchni* widz ma się bać i śmiać jednocześnie. I tak to trzeba zagrać. Na półśmiech...

To są role! Taki inspektor, komisarz, pastor... Każdą z tych postaci grałem. A jak się państwu podobał Antoni Wzięty z *Szalonych nożyczek*? To jest sztuka! Tak wykreować wieloznaczność, tajemniczą niesamowitość, aby widza zaprosić, mało, sprowokować do ustalenia jednoznaczności. Wesole dialogi i akcja na ostrzu zwariowania, a przecież jest wina, powinien być winny i kara się należy.

Z siostrami czasem przeholowałem. Groza, strach ponad ich dziecięcy wiek, ponad zrozumienie pokrętej logiki złych charakterów, krzyki i bulgoty towarzyszące wyimaginowanym bestiom... Wyły później w nocy na cztery głosy! W ich snach był dalszy ciąg moich wygłupów. Jeśli już jedna zaczynała popłakiwać, to pozostałe dołączały do stada. Siostry... Cztery... Nawet kawiozem można się przejeść! Podziwiane przez sąsiadów, grzeczne jak trusie w kościele, w domu zmieniały się w osy. Żądliły. Nawet na zdjęciu ich unikałem i ustawiałem się do nich bokiem i to mi do dziś mają za złe.

Środki teatralne miałem ubogie, ale od czego wyobraźnia. Tu trzeba przyznać, że moja siostrzana widownia ją miała. Miska z wodą psa Grozy przedstawiała zawsze jakiś akwen, a jego buda była obiektem budowlanym spełniającym wszelkie wymagania każdej wymyślonej przeze mnie, wyreżyserowanej i zagranej sztuki. Czasami tylko mówiłem: – Tu jest las i stawiałem wiązkę gałązek, to jest góra i zaznaczałem to kamieniem, tam są tory kolejowe i kładłem dwa patyki... Działo zawsze. Ja zapominałem, gdzie co jest, a siostry nie. A już Kazia! – *Nie siadaj na torach, bo pociąg nadjeżdża!* I zasłaniała oczy, aby nie widzieć mojej

śmierci. Zosia! – *Przekręciłeś słowa. Wczoraj było inaczej, ten złodziej nazywał się Chciwiec, a nie Chciwosz!* Marynka! – *Duchu, maska ci się przesunęła i jedno oko ci widać!* Kasia! – *Wczoraj jezioro było z prawej strony, a las rósł za rzeką dopiero.*

Niesamowite! Wystarczyło, że poprawiłem strój i już byłem duchem autentycznym, którego się bały, przed którym uciekały, którego potem śniły. Wystarczyło, że doniczkę postawiłem na miejscu błękitnej wstążki, a wstążkę na miejscu doniczki i już wszystko grało. Dziwaczne stroje kombinowałem ze starych szmat, sznurków, liści, uszkodzonych sprzętów...

Nie wiedziałem, ale czułem, że „kostiumy” bardzo pomagają temu, co wypowiadałem. Realizowałem się więc bogato w nurcie jarmarczno-plebejskim, odległym od literatury tak, jak disco-polo od muzyki, jak wyszywanki po numerkach od malarstwa, jak rymowanki od poezji. Sztuczki, akrobacje, naśladowanie wszystkiego co wydaje dźwięk i wszystkich, którzy inaczej mówią, chodzą, jedzą, wyglądają – były bazą, na której budowałem scenariusz. Wszelka inność jest zawsze ciekawa. Bardzo mało miejsca w twórczości zajmują ludzie zwyczajni, ludzie środka. Same krańce. I instynktownie tych krańców szukałem.

Niesamowite! Wyobraźnia, wyobraźnia dzieci i wielkie teorie potem w szkole jakby na niej zbudowane. Model elżbietański bardzo sprzyjał tej wyjątkowej wartości w człowieku. Wielki umiar, a nawet oszczędność w stosowaniu środków plastycznych, a jednak działało. Ten typ scenografii poznałem dopiero na studiach, a stosowałem na swoim podwórku jako podrostek. Nie miałem przecież żadnej wiedzy, więc nie byłem niczym skrepowany. Pełna żywiołowość. Na usta cisną mi się dzisiaj słowa Szekspira z *Henryka V*.

*Natężcie myśli! patrzcie: oblężenie;
Już działa stoją na swoich lawetach,
Fatalną paszczą ku Harfleur zwrócone.
Otóż i poseł wraca od Francuza,
I wieść przynosi, że król Henrykowi
Daje za żonę córkę Katarzynę,
A z nią, w posagu, księstw kilka mizernych:
Ale ofiara jego odrzucona.
Bombardyer lontem tknął dyabelskie działo;*

*Wszystko się wali. Niech lot waszej myśli,
Czego nie może scena dać, nakreśli*

Niech państwo zauważą:

Niech lot waszej myśli, czego nie może scena dać, nakreśli...

Jedyną dobrą stroną moich wygłupów było to, że zaszczepiłem siostrze miłość do teatru. Zośka z Londynu przylatuje na każde moje premierowe przedstawienie, Kaśka pisze scenariusze dla dzieci, Marynka uczy polskiego, a Kazia krytykuje mnie bez przerwy. Nawet po śmierci. Do dziś. Dziś będzie jej ostatni raz! Duchowo, ale będzie, czuję to. Gdy ona jest wśród publiczności, to ja mam jednocześnie udar, zawał i zator myśli. Wszystko na raz. Taką mam treść.

Każdą treść można oswoić, obłąskawić, i to dzięki Wam. Jeszcze przed spektaklem podglądam przez szparę kurtyny. W trzecim rzędzie po prawej stronie siedzi moja wielbicielka Jadzia. Koniecznie po prawej, bo lepiej słyszy na lewe ucho. W dziesiątym rzędzie nieodłączny fan teatru, który nie miał odwagi zdawać do szkoły teatralnej, pan Józio. On znowu z bliska nie widzi. W czwartym obok siebie, za rączki jak w kinie, siedzi piękna para. Młodzi. Pewnie studenci. Ona pałającym wzrokiem wprost scenę połyka, on najbardziej zainteresowany jest sposobem jej objęcia itd. Ciekawe, czy po ślubie przyjdzie za żoną do teatru? Sprawdzam, są dzisiaj, a więc nie są jeszcze małżeństwem. Ulga. Jest zaprzyjaźniona redaktorka, która teatru nie czuje, ale napisze dobrze, serdecznie nawet. Nawet mi się dźwięcznym głosem zapyta przez telefon: – Panie Maćku, tak jednym słowem, to o czym to było? I toczka w toczkę przytoczy potem moją wypowiedź, jako własną myśl. Nawet słyszę jej głos, gdy czytam.

Przybyła dzisiaj młodzież. To się liczy. Przyszli z własnej nieprzymuszonej woli, bo to przecież nie jest spektakl szkolny. Nie ma też w naszym mieście szkoły teatralnej, więc żadne tam warsztaty czy nakaz. Miód na serce, woda na młyn, wiatr w żagle. I wtedy wytaczam wszystko z siebie, żeby pokazać tej mojej siostrze i pozostałym na co mnie stać. (*Szeptem do widowni, przysłaniając usta*). Dzisiaj siostra też jest, oczywiście duchowo. Wreszcie powiem co o niej myślę, a wszystko wytłumaczę rolę. Dołożę swoje, nacisnę, gdzie zechcę, przewrócę cyrkowo gałkami, bo reżysera nie ma. Ale... O zmarłych powinno się mówić dobrze. Dzisiaj, jedyny raz będzie dobrze o siostrze. Tak się zachowam, jak powinienem. Krótko powiem. W jednej z moich ról miałem wyjść na balkon i zaśpiewać fragment melodii z *Wesołej wdówki* Lehara. Przekroczyłem wymagowany próg balkonu, skrzyżowałem dłonie, jak prawdziwy śpiewak operowy, nabrałem powietrza i już łowię uchem delikatną podpowiedź rytmiczno-muzyczną: um tam tam, um tam tam... A ja nic. Suflerka podpowiada tekst drugi raz, a ja nic. Tylko Kazia zorientowała się, że melodii zapomniałem. I cieniutko zanuciła „Usta milczą, dusza śpiewa...”. (*Słysząc śpiew. Patrzy z lekkim przestraszeniem do góry*). A mówiłem, że jest. Zaśpiewała dzisiaj, jest na moim ostatnim występie. Oczywiście, wtedy skorzystałem z takiej podpowiedzi i zapytałem: – Skąd wiesz, moja ukochana, że tę melodię dusza moja śpiewa ci co wieczór. Zostałem uratowany, a siostra (niestety) nagrodzona gromkimi brawami. Głos miała, trzeba przyznać, operowy.

(*Otwiera szafę, wyciąga drobne rekwizyty, charakterystyczne dla postaci: perukę, krawat, żabot*).

Postać trzeba polubić, choć się jej charakterem pogardza. Taki *Tartuffe* Moliere. Uwodziciel w najgorszym wydaniu. Zniszczyć drugiego człowieka, zniewolić go tak, aby nad nim zapanować. A jakże polubić jego ofiarę? Tego *Orgona*, który ślepo idzie i poddaje się presji swego oprawcy z zadowoleniem, z uwielbieniem nawet. Jak te postaci podać? Chciałoby się tak, aby ludzie nie przestali sobie ufać, aby to była tylko wielka nauka dla wszystkich dzisiejszych *Orgonów*, których pomimo powszechnego wykształcenia, jest bardzo dużo. Bo i środków do uwodzenia przybywa, bo ludzi, którzy z tego żyją, technika i informatyka wyposażyla bardzo hojnie. Komedia Moliere, to nauka o zniewoleniu przez silną jednostkę, ale i przez grupy, systemy, ustroje, organizacje. Sztuka jakże aktualna dziś. I nie potrzeba jej na siłę

uwspółcześniać. Nie potrzeba. Należy uwierzyć w inteligencję widza i pozwolić mu myśleć i nie naruszać przepięknych procesów skojarzeniowych, jakie zachodzą w głowie człowieka. Tego przełożenia na myśl ogólną, na wartości przez człowieka pożądane. Ludzie się w swoich pragnieniach nie zmienili, tylko otoczka techniczna nowocześniejsza, tylko metody władzy perfidniejsze, tylko informacja bardziej pokretna. Niechże widz sam przełoży sobie przesłanie do swoich czasów. Komedia... Śmiech w tej komedii ma pobudzić do działania, do poszukiwania równowagi. Trzeba się zastanowić, czy życie tylko mi się przydarza, czy i kiedy i jak dowodzić kierować swoim życiem. Bardzo lubiłem grać tego kusiciela, ale też grałem tam też inne role męskie. Piękne role, pozwalające na polot, lot nawet i zabawę. Zabawę rolę, ale i taki lot, który pozwala na budowanie bohatera po swojemu. *Kleant* do *Orgona* tak mówi:

*Strzeż się, jeżeli możesz, czcić zapal udany.
Lecz nie krzywdź posądzeniem cnoty nieskalanej.
A gdybyś już przesadą musiał grzeszyć stale.
Lepiej zbyt wierzyć ludziom, niż nie wierzyć wcale.*

Na ile sposobów wypowiadałem tę kwestię? Nie musiałem naśladować innych, miałem zapas w sobie na całe życie: jak siła ducha stała w danym dniu, jaka była publiczność czy siostra była akurat w teatrze, a i dzisiaj...

To nie takie łatwe być zawsze gorącym, nigdy ciepłym, a tym bardziej letnim, broń Boże zimnym, broń Boże pogardzać postacią! Na scenie potrzeba żaru nawet w najbardziej lodowatej roli, szczególnie w lodowatej.

To Wy, Kochana Publiczności macie prawo nie zgadzać się, okazywać zdenerwowanie albo zniecierpliwienie, opuścić przedstawienie w dowolnej chwili, albo nie przyjść w ogóle. Długo dochodziłem do tego, aby tak siebie podawać, by idąc do widza – jednocześnie mu umykać. Bo to działa tak: trzeba zakiełkować we wrażliwości i potrzebach odbiorców, to przyjdą drugi raz, trzeci raz... Przyjdą dla sztuki i owszem, ale też dla aktora. To jest nie lada wyzwanie, by nie wpaść w mechanizm powtarzalności. Rutyna, to koniec trwania. Język, a w szczególności język aktora powinien intensywnie żyć, bo inaczej zastygnie jak beton. Może się tutaj ze mną nie zgadzacie, bo przecież ja ciągle mówię czyjeś słowa, nawet jestem do tego stworzony, zobligowany i poniekąd przymuszony. Aktor z definicji zgadza się mówić czyjeś słowa.

(Popisowy fragment dla aktora).

O! Nic bardziej mylnego! Spróbujcie wypowiedzieć jakiegokolwiek imię, a potem dołączyć emocje. Raz będzie wołaniem, innym razem pieszczotą, nienawiścią, bólem... Tyle różnych kobiet można postawić przed widzem, ile razy wymówisz imię. *(Demonstruje ten aspekt wyrazu artystycznego. Wybiera sobie imię np. Marysia, Maryśka, Marynia, Maryńcia, Maria, Mania, Maryła, Mańka, Maniusia, Maryś, Marysieńka, Mery, Miriam, Maryna, Marynka, Marycha. Poprzez zdrobnienia, skrócenia imienia, rozszerzenia, nadanie końcówek, które imię czynią twardym i nawet prześmiewczym, wyraża swoje emocje i nakreśla swój stosunek do tych kobiet. Dołącza też ruchy, gesty, miny, drobne rekwizyty: kwiatek, kartka papieru, list, fatalaszek, lustreczko itp.).*

Np. Więc pozdrawiam cię, Maryla, Widziałem Marynę raz we młynie, Marynia Połaniecka, Mania Winna, Maria z Nazaretu...

Twórca nie może bać się agresji, szaleństwa, brzydoty, rozpaczy, nagości, wulgarnych słów... Tylko musi znać cel atakowania widza takimi obrazami, musi być w tym temacie pierwszy i przekonujący. Twórca musi być nurtujący jak Abakanowicz, nasycony przerażającym cierpieniem, jak Beksiński, zachwycający wszechwidzeniem, jak Sołtysik. Intryguje mnie postać bardzo zdolnej aktorki pani Riamy Grzeszek i jej obrazoburcza poetycko-wulgarna propozycja tekstów, piosenek i obrazów. Sam też przyglądałem się temu zjawisku i – zaakceptowałem, z trudem, ale akceptowałem. Jej pomysł, jej wykonanie, jej wizja budzenia człowieka w człowieku. Ona to wymyśliła, sama wykonuje, bierze za to odpowiedzialność.

Byli, są i będą tacy ludzie, którymi tak właśnie trzeba, tak tylko można potrząsnąć, którym takie metody są potrzebne, jako lustro, jako bodziec poszukiwania i odnalezienie siebie. Czynności fizjologiczne na scenie uznają za artyzm. A może też widzą to jako przesunięcie barier, zafundowania sobie lepszego samopoczucia, bo oto są bardziej wulgarni, bardziej dowolni, bardziej zbuntowani niż ja, i nikt ich za to nie potępia. Bo oto jest postać, która za nas bluźni, rozbiera bez potrzeby siebie i innych, depcze tradycję, szarga świętości, mówi bez żenady, co boli, co uwiera, co... Nie mój gust. Dotykać, prowokować – i owszem, ale wciskać się, naciskać, atakować? Czytaliśmy Lema. On to w punktach wypisał zagrożenia dla świata. Do kultury też się odniósł. Grozi nam banalizacja kultury, ale też rozpowszechnianie ogłupiającej rozrywki. Tak przewidywał... I przewidział!

Ktoś na jej blogu zapytał nawet, czy te nagie kobiety potrzebowały tej sceny, czy też czymś je przekonano, może perswazją, może pieniędzmi, może zaapelowano do ich próżności, jakieś tam chwilowej sławy? Liczne podziękowania widzów i słuchaczy pod jej teledyskami, potwierdzają tylko to, co powiedziałem wcześniej. Autorka i jej wyznawcy mieli takie potrzeby, chcieli, aby tak to wyrazić w ich imieniu. Mieli, mają i mieć będą takie prawo. Ja określam jasno, że nie mam takich potrzeb. Artysta jest po to, aby szukał przenośni, szukał takiego wyrazu artystycznego, aby nie bijąc pojedynczego człowieka, bił w grupę ludzi jemu podobnych, aby nie wymieniając nazwiska, widział ich jednocześnie całe tysiące. Można bić po twarzy nie używając rąk. Po co budzić jeden umysł brudząc wulgaryzmami drugi? Artysta nie może kreować pogardy dla nikogo. Trzeba liczyć zyski i straty. Może wreszcie ktoś przebadania, ilu widzów nie przychodzi na takie zwulgaryzowane widowiska. Artysta, jeśli nawet chce uderzyć z za węgła, nie musi uderzać nagością, bo cóż to za broń? Chwilowe zaskoczenie i tyle. Twarz jest ciekawa. Twarz i dopiero cała reszta. Pytam siebie, co twórczyni zaproponuje, gdy już wszystko rozbierze i wyklunie? Wiem, wiem... Na dziś boi się w sobie dziecka. Odrzuca to, co i tak ma w sobie. Czekam, z czym teraz wypłynie do widza.

To nie jest język ogółu, strach nawet pomyśleć, gdyby ten typ wyrazu zyskał naśladowców i rozwijał się w tym kierunku. Nie byłoby czego uczyć w szkole. Co się dało odrzeć z odzieży, zostało odarte, co zdeptać – zdeptane, co się dało zanegować zostało uczynione. Walka i metody walki o wolność duszy i ciała szukają skrajności i niechże szukają, artysta to proponuje, a odbiorca niech wybiera sam. Zastanawiałem się wielokrotnie, czy byłbym w stanie włączyć się w taki nurt. Wiem dziś, że nie.

Tylko do Was to mówię, tylko do Was. Nikt się więcej nie dowie. Ja Wam ufam. Tu są dzisiaj sami moi przyjaciele, którzy wiedzą, co można dalej ze słowem zrobić, komu powtórzyć, a komu nie. Słowo, to wytwór kultury, a więc może kłamać, robić krzywdę, może pocieszyć, ale i dobić. Słowem można kogoś docenić, zauważyć... A jeśli słowa przejdą w czyn, to już pełnia szczęścia albo – nieszczęścia.

(Na ścianie wisi reprodukcja obrazu Salvatora Dali – Płonąca Żyrafa. Podświetlony obraz wyzwała wspomnienia. Mężczyzna ociąga się nieco, nalewa sobie wody, przysiadła na chwilę, wstaje. Tym samym daje czas widzowi, aby i on wyzwolił w sobie własne skojarzenia z tym surrealistycznym dziełem).

W latach licealnych uwielbiałem patrzeć na obraz *Płonąca żyrafa*. Pani profesorka od plastyki pokazała nam album Salvatora Dali. Pełno tam było dziwactw niepojętych, ale mój umysł i wzrok wychwyciły tylko zdjęcie tego obrazu. Nie rozumiałem dzieła i do dzisiaj miałbym kłopoty z jego interpretacją. Ciekawiły mnie jedynie szufladki na nodze kobiety. Puste. Co to oznaczało? Czy już opróżnione, czy dopiero mają być zapełnione. Co wysypano z tych szufladek albo czym można je zapełnić? Dla mnie tych szufladek było za mało. Drukowałem sobie ten obraz i dorysowywałem szufladki. Szuflady, szufladki, szufladeczki, półeczki, przegródki, skrytki... Nie wiedziałem wtedy, że rysowałem samego siebie. Byłem zbudowany już wtedy z szufladek z przeznaczeniem na słowa. Tak bym chciał, żeby mnie ktoś tak namalował. Nie mylić z zaszufładowaniem! Kto by się podjął wykonania takiego portretu? Nie wiem. Musiałby to być mój portret, rozpoznawalny przez Ciebie, kochana Publiczności, od pierwszego spojrzenia! *(Gestykułuje, odsuwa i zaszuwa wymyślane szufladki)*. Oczywiście byłbym bez brzucha wypełnionym schematyzowanym żarłem, przerekłamanym napojem... Tę moją wadę może dałoby się jakoś ukryć. Żadnej eksplozji w rysowaniu, bo tu chodzi o precyzję. Dokładnie przemyślane i zharmonizowane szufladki. Tylko umysł lewitujący wśród myśli tak lekko, że aż cudownie, prawie bosko. I cały byłbym wielkim słowem, zbudowanym ze słów, które tak by do siebie pasowały, jak ziarenka słonecznika w swoich misternych pokoiczkach. Nie istnieje możliwość wpasowania ziarenka z innego słonecznika, do kwiatu już wcześniej wypełnionego przez naturę.

Aktor, proszę Państwa, ma obowiązek, tak, obowiązek! przygotować widza na przełożenie spektaklu na rzeczywistość. Sztuka... To czasem, wydaje się, nic ludzkiego, niby egzemplarz złego gatunku, może ciekawe, ale niemądre, może logiczne, ale nieprawdziwe... Albo rozpaczliwie głupie i nudne, pokrętne w słowie, wyinaczone w czynach...

Sztuka... To co odrealnione, ubajkowane, zheroizowane, zideologizowane, lukrowane, splugawione, oczernione, wybielone powinno się w ustach aktora tak ułożyć, i tak potem wypłynąć ze sceny do ludzi, aby po jakimś czasie widz zadziwił się, że to było i jest o nim, o jego sąsiedzie, o jego przyjaciółach albo wrogach. Czasami tekstu sztuki zrozumieć niepodobna, ale...

Od czego przyspieszony kurs życia, trwania, twórczości autora sztuki? Bo w teatrze nie powinno być za dużo teatru. Tylko tyle, ile trzeba. Żadne tam spotęgowanie, broń Boże uj-

mowanie. I to jest właściwie ta sztuka aktorstwa. Tyle, ile trzeba, jak soli w potrawie, jak ostrej papryczki, jak gałki muszkatołowej... To co słyhać, musi być tak samo prawdziwe, jak to co widać. Każdą sztukę trzeba przeżyć, przepuścić przez najcieńszą żyłkę, poczuć w mięśniach i kościach, skropić łzą, oblać potem, przytulić serce sercem, przeświecić duszą, opatrzyć wzrokiem, dotknąć wszystkimi zmysłami i dopiero wtedy rozdziawia się w człowieku dusza i stwierdza: – Aaaaaa... To o to chodziło! To takie jest przesłanie. Taki Mrozek, Różewicz...

Aktor... Aktorek... Aktoreczek...Aktorzyna... Wyrobnik, rzemieślnik, gadacz, odtwarzacz, klepacz, memłacz, papuga, twarz do wynajęcia, ciało do dyspozycji, umysł do ominięcia, a nawet zniewolenia... A gdzie artysta? Czy aktor jest artystą? *Nie ma małych ról, są tylko mali aktorzy* – powiadają. Jeżeli aktor, tym co wypowiada, tym kogo przedstawia, nie zadziwi swojej duszy, to nie powinien wychodzić na scenę. Jestem o tym przekonany. Roli oddaje się całe serce, intelekt, uczucia, Ale jeśli sam się zadziwi, to musi się tego trzymać, nawet wbrew woli reżysera, wbrew regułom wyuczonym, wbrew „życzliwej” krytyce wbrew bólowi korzonków, wbrew biegunce, wszędobylskim bakteriom, podstępny wirusom, wbrew wszystkiemu. Nic się wtedy w przesłaniu nie da ominąć, zmarginalizować, żadnym słowem nie da się pogardzić, żadnego nie wolno okroić z końcówki. Cała rola jest galopem umysłu, balansom, na granicy wytrzymałości ciała i myśli. Coś tak określonego, jak twoje ciało, zrobi tyle ile może, nie wyjdzie z siebie, ale myśl? Kto i kiedy zdoła ją pochwycić i ujarzmić? Nikt! Nawet reżyser. Trzeba sobie pozwolić na lot, bo drugiego takiego zapału nie wykrzesze się na zawołanie. I to jest kreacja aktorska. Aktor przecież mocuje się z tekstem długo, a widz tylko w czasie krótkiego spektaklu. I jeśli taka maszynka do mówienia zrutynizowana czasami do cna, wyjdzie przed publiczność? To co? Niby kordialnie, niby tubalnie, niby w zgodzie z dykcją, wiernie z tekstem, niby wyraźnie, ale bez wyrazu. Drętwo. Powierzchniowo. Nie lubiłem Bertolta Brechta. Tego jego dystansu, wiecznego żądania miejsca aktora na pozycji odtwórcy. Ale jego *Matkę Courage i jej dzieci* podziwiałem. Blisko 20 reżyserów teatralnych bądź telewizyjnych mierzyło się z tą sztuką. Moja wyobraźnia najlepiej się identyfikowała z postacią *Kapelana*. Uwielbiałem tę rolę.

Wielka sztuka nie powinna odbierać człowiekowi poczucia bezpieczeństwa, choć ukazuje świat straszny, odległy, ponad wiedzę człowieka, ponad jego chcenia i marzenia nawet. Wielka sztuka jest jak esencja, powinna zapaść widzowi w serce, w umysł i być możliwa do skosztowania według potrzeb, według możliwości żyjącej istoty. Ukłucie teatrem jest jak zastrzyk ze wzruszeń, z przerażenia, z oczyszczającej radości, z uczuć ważności trwania na tej ziemi. Z teatru powinno się wyjść poruszonym, co najmniej poruszonym.

Och! Takie „Być albo nie być” Szekspira... Pytanie zasadnicze ludzkiego trwania. Mierzyłem się z tym, mierzyłem... Gra jest śmiertelnym wrogiem aktora. Trzeba być prawdziwym w świecie iluzji. Aktorstwo to zawód, gdzie obowiązkiem jest czuć, odczuwać, współodczuwać, doznawać...Szekspir poprzez usta *Hamleta* tak mówi: *Tylko pamiętaj, mów ten monolog tak, jak go przeczytałem: płynnie i swobodnie. Gdybyś miał deklamować z fałszywym patosem, jak niektórzy aktorzy, wolałbym już, żeby moje wiersze wyrzycał herod miejski. I nie machaj rękami, jakbyś drwa rąbał. Używaj gestów oszczędnie: w najdzikszym zamęcie, wie-*

rze, nawałnicy namiętności trzeba dyscypliny – bez niej nie da się pasji składnie wyrazić. Rani mnie do żywego, kiedy słyszę, jak jakiś krzykacz w peruce drze się tak, że rwie namiętność na strzępy i szmaty; a tymczasem ogłuszona galeria i tak nic z tego nie rozumie z tego miotania się i wrzasku. Takiego draba kazałbym oćwiczyć...

I nieco dalej:

Ale strzeż się nijakości. Kieruj się w tych sprawach własnym wyczuciem. Niech działanie zgadza się ze słowem, a słowo z działaniem. I pilnuj się zwłaszcza, żeby nie wykraczać poza naturalność, która jest zawsze powściągliwa.

A Moliere w *Świętoszku* tak to wyraził:

*Doprawdy, większość ludzi to stworzenia dziwne:
Co w zgodzie jest z naturą, to im jest przeciwne.*

Czy to osiągnąłem? Po każdym spektaklu pytałem siebie o to, po każdym...

Tyle ról... Dlaczego więc odmówiłem grania tej, kiedy zgadzałem się na wielokroć gorsze nadużycia na linii – autor, reżyser, aktor? Dlaczego to zrobiłem, kiedy wydawało mi się, że potrafię powiedzieć wszystko? Powinienem spróbować grać tak, jakby się nie grało, mówić, jakby się nie mówiło, czyli wyłączyć na ten czas wrażliwość. Dlaczego odmówiłem? Znałem sztukę i rolę i wiedziałem, gdzie mam wstawić te kur... Gdy powiedziałem – nie, zrobiło mi się jakoś lekko, jakbym się uwolnił z kajdan, jakbym worek z siebie zrzucił. Przecież mogłem się zgodzić, popracować nad rolą, starać się zrozumieć autora sztuki i reżysera, wykreować postać tak, aby to przekleństwo wybrzmiało jako... Jako co? Jako konieczność? Jako maniera, jako nieobycie, jako bluzganie nawet, jako podłożenie pod te słowa wszystkich moich złości, niepowodzeń, słabości, nieporadności. Mogłem się na ten czas wyłączyć z roli i dać w pysk tym słowem wszystkim moim lękom, opluć pułapki życia, sponiewierać wszystkie kobiety, które mi były nazbyt przychylnie, albo nieprzychylnie.

Pochwała, a nawet gloryfikacja przeciętności zdarzała się już w sztuce. Pokazywanie świata tak, jak go widzi zepsuty człowiek nie jest nowością. Ale obecne pokazywanie świata poprzez wulgaryzmy, przekleństwa – nabiera takiego tempa, że mnie to przerasta. Czasami przypomina mi dziecinadę, dorabiającą sztukom wąsy, brodę, podglądającą sztukę od strony pożądania. Z intelektualnej strawy robią paszę, z każdej kobiety dziwkę. To już nie jest ani oryginalne, ani autentyczne. Pokazać ludzką brzydotę i ludzką małość poprzez treść i język? Można, a nawet trzeba, ale nie ma potrzeby wstawiać na siłę przekleństw, tam, gdzie ich nie było, gdzie są śmieciem, brudem, plugastwem... Reżyser nie może szukać sukcesu za wszelką cenę, sukcesu poprzez nagość i przekleństwa.

Gombrowicz w *Operetce* stwierdza: *Nagość, phoszę państwa, jest demagogiczna, jest wphost socjalistyczna, bo i cóż by było, gdyby gmin odkhył, że nasza dupa taka sama?!*

Nawet postacie odrażające moralnie mają prawo do pokazania w nich odrobiny dobra, do uczłowieczenia. Można pytać i zastanawiać się, dlaczego na świecie jest tyle zła. I szary, albo

amoralny bohater, zepsuty bohater, zły do szpiku kości bohater wchodząc na deski teatru, na pewno nagością zszokuje widza, zadziwi, ale dzięki świetnej robocie artystycznej reżysera i aktorów, zdoła przerodzić się w coś na pierwszy rzut oka nieuchwytnego, a jednak trwale umieszczonego w pokładach naszego rozumienia i pragnienia ulepszenia życia. W rękach świadomego twórcy i reżysera każde ludzkie zachowanie może stać się materiałem bogatym w artystyczne wartości, a zło, groza i strach nie muszą wcale uruchamiać w widzu najgorszych instynktów.

Widocznie czarka się przepelniła, Dojrzałem do tego, aby powiedzieć – NIE! Chodziło o to, jak państwo pamiętają, że miałem w trakcie grania swojej roli powiedzieć kur... około 123 razy. Aleksander Brukner nazwał je prasłowem, w zapisie polskim funkcjonuje już od 1415 roku. Doczekało się ponad dwudziestu synonimów, a wszystkie oczywiście wulgarne.

Co, przepraszam, kto to jest kurwa?

W czasach mojej młodości to było słowo robotnicze. Każda wypowiedź robotnika musiała się podeprzeć tym słowem, używanym jako przecinek, jako brakujące słowa, jako podkreślenie wyrazu niezgody czy zdenerwowania... Podobno w wojsku jeszcze ciekawiej w tym względzie. Częściej jest wypowiedziane niż brany oddech. Kilka na jednym wydechu! Nie byłem na szczęście, nie byłem. Dzisiaj przekleństwa, to domena głównie nastoletników i ...teatru. Teatr przebił nawet nastoletnich, zmanierowanych wypowiedzaczy.

Tego słowa nie da się wymawiać obojętnie, nawet jeśli ktoś używa go jako przecinka. Jedno z najbardziej intrygujących słów świata. Ci co tylko dotykają życia użyli na pewno, co najmniej raz, tego słowa. No, jeśli jest jakaś jego świątobliwość, jego dostojność, jego magnificencja, albo nawet jego wysokość, która nie wypowiedziała go głośno, to na sto procent – pomyślała. A może tak spróbować o niej mówić ciepło: – Daśka, Dasiuńka, Darka, Chciuńka, Dobrunia, Dobruśka, Rozumiejka, jakoś ziołowo może – Przytulnia fałszywa, Miętka przydrożna, Lobelia czepna, Rozrzutka zmysłowa albo bankowo – Chwilówka... E... Te słowa przejdą przez gardło przed chcicą, po fakcie będzie, tą, tą zawsze na k... Ta kobieta zawsze jest naga bezczelnie albo bezwstydnie, nigdy niewinnie.

Kobieta do zadań specjalnych...

Partnerka oszustów, kombinatorów, cinkciarzy, nieudaczników, popaprańców... Musi się nauczyć przechodzić z rąk do rąk, z łóżka do łóżka, z pokoju do pokoju, ze speluny do speluny. Na zapleczach piekiełek, w zaprzęgu zawsze występnej czyjejś myśli, łatwej myśli, pierwszej potrzeby dla zmysłów, musi być dostępna, jak stoi, a właściwie ... leży. Pozbawiła się sama domu, rodziny, kraju, a najgorsze jest to, że pozbawiła się miłości. Należy do wszystkich, a więc nie należy do nikogo. Zawsze do zapomnienia. Przejściówka, podjazddek... Narzędzie. Worek na swoje i czyjeś grzechy. Rozpuszczalnik skrupułów dusz, gaśnica zmysłów. Wielka wypożyczalnia. Użyć i oddać drugiemu, jak rzecz, jak narty, jak kajak...

Specyficzna kobieta!

Wspaniały psycholog. Wie, jak podejść do tych wszystkich ucieleśnionych sukcesów i porażek, wszelkiej maści kompleksów, skrywanych pragnień i nieskrywanych żąd, udawanej pewności siebie i rzekomej przyzwoitości. Wie, jak podejść do wiecznie skłoniętego Japończyka, pierdzącego Niemca, wyinaczonego Francuza, zimnego Norwega, fast-foodowego Amerykanina, rubasznego Rosjanina... Zawsze spokrewniona z oszustwem, albo ona je oszukuje, albo jest oszukiwana.

Podaniem tego słowa dla widza byłem zachwycony w filmie „Zmory” u Wojciecha Marczewskiego. Pomimo, że wypowiada je chłopiec, nie razi, jest konieczne, spełnia swoją funkcję. Wypowiedziane jest prosto, jak każde słowo, którego młody człowiek się uczy. Nie stoi za nim tych dwadzieścia znanych synonimów i ileś własnych skojarzeń. Nie jest to słowo w filmie absolutnie nadużywane, a kobiety wykonujące ten przypisany, przynależny im proceder są tak pokazane, jak i to słowo. Tyle, ile konieczne dla przekazu stanu chłopca zawiązanego z inicjacją seksualną, czy z potrzebami zapijaczonego wuja. Nikt się tam nie napawa, nie krytykuje, nie namawia do niczego. Jak świat światem, mroczne strony namiętności porywają w swój wir młodość, niespełnienie w miłości, potrzebę inności, jurność wzmocnianą alkoholem, a dzisiaj narkotykami, pornografią. I takie strony życia też należy w teatrze pokazywać. Ale jeżeli ja mam bez potrzeby dla przesłania sztuki kłać, rozbierać się, uprawiać seks na scenie, to muszę się zbuntować. Dosłowność zabija! Nikt na swoje żądanie nie zmusi mnie do pożądania. Najwyżej wyjdzie chędożenie. Seks w twórczości Witkiewicza... Pamiętam jak dziś słowa reżysera: – *Musicie przekonać odbiorców, że seks w dziełach Witkiewicza, to coś genialnego, niezziemskiego.* Seks w życiu każdego człowieka jest ważny, bardzo ważny, ale jak najbardziej ziemski i indywidualny.

Kiedyś poproszono mnie, abym był jurorem w konkursie wierszy o tematyce religijnej. To dopiero było dla mnie doświadczenie. Od razu wyczuwało się teksty pisane przez osoby niskiej wiary bądź niewierzące. Wiersze były płaskie z nadużywaniem imienia Pana Boga (nadaremnie), albo papieża, albo kilku świętych. Warsztat pracy... I owszem. Ale to za mało. Silne uczucia erotyczne, religijne może opisać albo zagrać ten aktor, który sam czegoś takiego doświadczył, albo ma taką potrzebę, takie pragnienie, takie marzenie. Tak! Nie mam takich potrzeb, aby kłać za życzenie reżysera, paradować nago i udawać, że to jest moja wolność. Jeśli to będzie sztuka o domu publicznym, to bym się zastanowił, ale nie mogę z każdej sztuki robić domu publicznego, budki z piwem... Teatr, to świątynia!

Cóż to jest ta nowoczesność? Cóż to znaczy uwspółcześnić sztukę?

Cóż to jest nowatorstwo? Czego dotyczy? Poetki słów, inscenizacji, narracji, udźwiękowania? Wszystkiego naraz? A może to tylko eksponowanie tego, co indywidualne? A jeśli indywidualne jest marne, wsparte tylko mocą funkcji, to co aktor powinien zrobić?

Według mnie, gdy odniesiemy się do najwyższych wartości, do zjawisk społecznych najwyższej miary, te terminy nowatorstwa oznaczają niewiele. Wiecznotrwale dzieła zostają tak skancerowane przez tak zwane uwspółcześnianie, że aż zafałszowane w przekazie, bo odarte z realiów historycznych w sensie ogólnym i ze smaków danego języka czy wartości

obyczaju. Antygoną może wjechać na scenę wypasioną bryką, tylko po co? Świętoszka może na przeniesć do dzisiejszego klasztoru, tylko po co? Szanujmy twórcę! Twórcy się to należy. Szanujmy widza, bo jemu też się należy docenienie jego myślenia i należy mu się nieingerowanie w jego skojarzenia. Technika dla techniki, ani to na miarę przeżyć, ani to nie podkreśla treści przekazu. Dla wielkiego dzieła czas nie jest straszny, czas je jeszcze uwypukla. Co sztuka ma powiedzieć i czemu służyć? To się liczy. Przekaz się liczy. Uwspółcześnianie, dla mnie, nie jest wcale odkrywcze. Uczynienie z techniki bóstwa, a z przekleństw i nagości środka przekazu jest klęską reżyserską, a nie unowocześnianiem. Nowoczesną sztukę można po prostu napisać. Napisać!

Każdy człowiek chce się odbić w słowie, podzielić z kimś drugim poprzez słowo, zostawić po sobie chociaż słowo jako ślad. Myśliwski

Obserwuję polską scenę kulturową, ale i polityczną. Jest mi żal twórców, których znam jako myślące osoby, wykształcone osoby, wspaniałe artystki, a słyszę piosenkę wyśpiewywaną anielskim głosem z całym arsenałem diabelskich słów, przy sztucznych scenach z udziałem nagości I co? Temat piękny, bo o poszukiwaniu wolności, tylko pytam, po co taki sposób podania? Czy wolności, takiej pięknej wartości, nie da się szukać i odnajdywać bardziej spokojnie, z szacunkiem też dla tych, których razi takie plugawe obrazowanie poczynań artysty? Umysł wielki i wielka żenada.

Mierzenie stopnia wyzwolenia prawem do obnażenia ciała może być bardzo mylące. A może wolnością kobiety jest właśnie prawo do pozostawiania ubraną? – mówi Janusz Wiśniewski w *Molekułach emocji*.

Kobieta, prawdziwa kobieta wie, kiedy chce być naga i może nagością więcej zdziałać niż... Wiem coś o tym ja i panie świadome swojej kobiecości. Świat mogą przewrócić do góry nogami. Świat o tym wiedział i dlatego jest kulą. Miałem i ja taką kobietę – niepodzielną. Tylko moją. Dla niej ten mój bunt teraz. Jakże ja przed nią stanę, TAM, i wytłumaczę się, że zamiast czynić świat piękniejszym, nie robię nic i godzę się na takie...

Znacie Państwo arcyciekawą sztukę Gombrowicza – *Operetka*. Tam nagość jest potrzebna i jest jej tyle, ile trzeba. Aktorka grająca postać Albertynki musi się zmierzyć z tematem, zaakceptować i pokazać, że nagość nie jest do spełnienia, jest nieosiągalna. Rozebrana kobieta wcale nie jest odsłonięta do końca, a nawet nadal prawie zasłonięta. Nagość pragnień, skojarzeń, uczuć, marzeń... Czystość nagości, świętość nagości jako nowej idei, jako przebudzenia, jako odrodzenia. W nagości istoty człowieka tkwi odrodzenie. Chciałoby się dopowiedzieć: zdejmij wszystko, zdejmij z twarzy „ciszę błękitu”, zdejmij skórę, otwórz półkule mózgu, pozwól znaleźć duszę, pozwól czytać twoje myśli. Podziwiałem wielokrotnie scenę z *Albertynką*, sam grając *Fiora*, *Złodziejka*, *Firuleta*. Piękne przełożenie nagości jako wiecznej młodości trwania. Tańczyć na trumnie, bawić się, szukać życia, zaczynać życie czysto, zabawą, jak dziecko. Myślałem sobie nie raz, że gdyby ktoś napisał taką rolę dla mężczyzny, rozebrałbym się na scenie bez oporów wewnętrznych. Znałem takiego, który nienawidził obłudy, wszelkiej małości, hipokryzji. Nazywał się Jerzy Vetulani. Dobrze państwo kojarzą, to ten który domagał się legalizacji marihuany w celach leczniczych. Naukowiec. To ten, co w

mówionym piśmie *Gadający pies* wygłosił coś w rodzaju wykładu na temat chuja. Mówię państwu i do śmiechu i do myślenia. A kłął, jak cały cech szewców. Czy bym to powtórzył za niego, uznał jako monolog? Też nie wiem. To tylko autor może wykonać, tak uważam. Nie do podrobienia, jak German w śpiewie, jak Krosny w pantomimie, jak Picasso w malarstwie...

(Zamyśla się, gestykuluje, bierze gitarę i śpiewa)

Dziwna wolność dziś w teatrze, gdy aktora w środku natrze,
to nie szuka już WC,
szybko wplecie problem w temat, wcale przy tym tremy nie ma
robi to, co chce.

Ref. Do teatru król z królową szedł, aby zrozumieć słowo hej, o hej.
Szli przywódcy, ministrowie i ciekaw kultury człowiek hej, o hej.
Tam padały kwestie, zdania, dla ducha podtrzymywania hej, o hej.
Pracowały tęgie głowy na szyld dumny, narodowy hej, o hej.

Łamie się teksty klasyki i "tfu-rca" swoje wyniki
znaczy śmiało "*I made SAM*".
Dobrze robią te podróbki, na „rozumki i wątróbki”.
Taki kram, jak pan.

Ref. Do teatru...
W samiutkich prezerwatywach, awangarda świat „odkrywa”,
metodą od pasa w dół.
Z mózgiem tak się przecież dzieje, że w nieróbstwie tkwiąc – tępieje,
kuma pół na pół.

Ref. Do teatru...
Zamiast sceny jest obscena, aż się zbuntowała Wena
i zaznacza w czym rzecz tkwi.
Komuś z kasą chodzi o to, aby zalać myśl głupotą
niech się naród gzi.

Ref. Do teatru...
Dobry aktor jednym słowem może obsłużyć całą paletę barw, od białego do czarnego.
Tak właśnie. To się czuje, tego nikt nie wyuczy, żadna uczelnia ani żaden profesor. To jest właśnie kreowanie siebie i wolność, na którą nie ma definicji, bo każdy musi ją w sobie sam zaszcześcić i wyhodować. O takich rzeczach nie mówi się wprost, nawet myśleć nie wolno, bo podciągną to pod pychę, niepokorność a nawet zadufanie, a może zacofanie. Ale to nie jest pycha, o nie... To nie jest pycha.

(Wchodzi posłaniec od reżysera i wręcza list. Aktor otwiera, czyta, kłania się w milczeniu i z podniesioną głową wychodzi).

Koniec

Anna Błachucka

Ul. Jędrzejowska 38, 28-366 Małogoszcz, [tel:505 408 650](tel:505408650), e-mail: annablachucka@poczta.onet.pl

